

Roman A. GAJCZAK

Wspomnienia

Bezpośrednio po zakończeniu działań wojennych, nasz dom przedstawiał obraz nędzy i rozpacz. Na zewnątrz ściany były dosłownie posiekane od kul, a szyby w większości wybite. W środku panował bałagan, aczkolwiek meble i pozostały sprzęt nie zostały uszkodzone. W dwóch pokojach od ulicy hulał wiatr, bo okna zabezpieczyliśmy prowizorycznie. Te właśnie pokoje zajęło radzieckie NKWD i wtedy szyby wprawiono natychmiast. Koczowaliśmy praktycznie w jednym pokoju i kuchni. W kuchence całymi godzinami siedzieli podejrzani osobnicy, których żołnierze przyprowadzali na przesłuchanie. Wśród ponurych typów rej wodził żołnierz niskiego wzrostu, którego nazwaliśmy „Borutą”, bowiem przypominał diablika. Pełnił on funkcję ordynansa u jednego z oficerów, który stacjonował u nas po drugiej stronie sieni w pokoju lokatorskim. Ów „Boruta” uświadamiał podejrzanych od strony ideologicznej. Gotował strawę na naszym piecu dla oficera i dla siebie; zaśmiewaliśmy się ukradkiem, gdy przynosił mąkę, kaszę i cukier w woreczkach sporządzonych ze skarpetek.

W drugim pokoju lokatorski, Henryk urządził zakład fotograficzny. Oficerowie i żołnierze Armii Czerwonej nader chętnie go odwiedzali, zdjęcia wysyłali do swych matek, żon, narzeczonych. Za fotografie płacili prowiantem, później gotówką. I tak przez pierwsze tygodnie po wyzwoleniu, Henryk nas wszystkich utrzymywał. Miał spory zapas klisz i papieru fotograficznego a klientów bez liku. Dopływ prądu załatwili mu Rosjanie z samochodów wojskowych. Żołnierze najczęściej pozowali z rewolwerem w dłoni. Jeden pożyczył mi „tetetkę” i baranicę i jako quasi dziecko pułku zostałem uwieczniony. Inny, wysoki postawny mężczyzna oznajmił, że jest nauczycielem i musi mieć zdjęcie w cywilnym ubraniu. Zgoda. Ubranie i krawat pożyczył mu brat. Ale na tym nie koniec. Gdzie jest chusteczka do butonierki? Nie ma. Może otrzymać chusteczkę do nosa, lecz już trochę używaną...Nie szkodzi, niech będzie! Byli przezabawni, a przynosili pszenne chleb, mięsne konserwy, cukier i powidła. Rozwijał się handel wymienny, żołnierze niezmiernie byli zainteresowani alkoholem; za wódkę, bimber czy wino dawali praktycznie wszystko. My nigdy nie przeprowadzaliśmy takich transakcji, choć wiadomo, że niektórzy wadowiczanie dorobili się tym sposobem małych fortun.

U państwa Karmańskich stacjonowała radziecka lekarka, uroczą blondynka w stopniu kapitana. Była żoną generała. Brat ją fotografował – posłała nam kruche ciasteczka.

Wielu przewinęło się przez nasze domostwo oficerów i żołnierzy. Żaden nie wyrządził

najmniejszej krzywdy. Żywnością z reguły dzielili się, cechowała ich gościnność. Oprócz zegarków i sprężynowych wkładów z foteli nic nam nie zabrali. Niezmiernie bali się NKWD, a przy tym szanowali fotografa i jego rodzinę. Mnie nazywali „malczyk”, a siostr nigdy nie zaczepiali. Choć do jednej zapłonął uczuciem bohater z Abchazji. Chciał ją zabrać w góry Kaukazu, gdzie będzie miała biały chleb, krupy i południowe owoce... Zaczął serio uderzać w konkury, aż siostra kryła się w piwnicy. Raz mama nie wytrzymała i jak to się mówi nawtykała mu. Odszedł jak zmyty, ale smutny.

Mieszkało u nas dwóch wyższych oficerów-lekarzy podpułkownik i major. Mieli tresowanego wilczura, a maniery dżentelmenów; pełni rezerwy trzymali się na uboczu, używali dobrej wody kolońskiej. Jeden pięknie recytował Puszkina, drugi odegrał na gitarze pieśń Granadasa. Prosił, aby Henryk im zaśpiewał „O sole mio”.

Pewnego dnia jakaś zabawka wpadła mi za kredens. Gdy zajrzałem przez szparę, zobaczyłem między ścianą a meblem jajowaty przedmiot. Cóż to takiego? Okazało się, że to granat. Przerażeni zawiadomiliśmy pierwszego napotkanego żołnierza. Przyszedł, uspokoił nas, grant wydobył, po czym udał się za ogród p. Fijałkowej i odbezpieczwszy śmiertcionośny ładunek, rzucił go na puste pola orne. Ależ rąbnęło! A żołnierz śmiał się wesoło i głaskał mnie po głowie.

Broń, amunicja, niewypały – oto co chłopców i młodzieńców interesowało bez reszty. Niemcy pozostawili całe stosy amunicji, która nie pasowała do karabinów żołnierzy radzieckich. Więc leżały dziesiątki tysięcy ładunków przeważnie karabinowych, chociaż nie brakowało cięższego kalibru z cekaemów, moździerzy i armat. Karabinów, rewolwerów, peemów nie było tak wiele, bo starsi bardziej przedsiębiorczy, zaopatrzyli się w broń natychmiast po wkroczeniu Rosjan. Każdy wyrostek za punkt honoru sobie stawiał, aby mieć coś do strzelania! I wszyscy kropili w powietrze, do drzew, do tarcz. Czasem źle się to kończyło.

Ja zdobyłem niemiecką szablę oficerską, którą wymieniłem z Rosjaninem za karabin. Długo się nim nie cieszyłem, bo odebrał mi broń jakiś starszy facet z białą-czerwoną opaską i jeszcze zwymyślał. Miałem natomiast pełną szufladę naboju powtykanych w łódki po pięć sztuk. Gdy je mama odkryła – oberwałem. Potem chowałem amunicję w ogrodzie.

Pojawiły się karabiny bez kolby, dało się z nich strzelać lecz było to niebezpieczne. Ktoś też wymyślił inny rodzaj odpalania: pocisk należało wydobyć z łuski najlepiej obciążkami. Następnie wysypać część prochu, pocisk wcisnąć z powrotem do łuski ale głębiej i podsypać prochem od góry. Potem zapalić proch zapalką i padał strzał. Wraz z Mańkiem Przeciszewskim stosowaliśmy tę metodę. Zaś za płotem u Walusia Fijałka nie milkła kanonada. W „garażu” mieścił się arsenał. Kule buczały jak osy, cud że nikt nie został trafiony.

Zabawa w wojsko i strzelanie trwały kilka dni, dopóki milicja nie opanowała z grubsza

sytuacji. Niestety, miało miejsce kilka wypadków śmiertelnych i kilka trwałych okaleczeń¹. Zginęli niepotrzebną śmierci młodzi ludzie, którzy dla zabawy wrzucali pociski armatnie do ognia. Potargało ich na strzępy. Ofiarami lekkomyślności własnej lub czyjejs stali się 14-letni Jurek Grzybczyk z Gotowizny i jego kolega. Inni do dziś kuleją, albo posługują się jedną ręką.

Nie wspominałem dotychczas, w jaki sposób sforsowali Rosjanie Skawę, skoro mosty zostały wysadzone. Otóż most kolejowy uległ poważnemu uszkodzeniu, przez jego środek biegła szeroka wyrwa. Natomiast drogowy, jak gdyby siadł, tworząc głębokie wklęsnięcie. Rosjanie nacierali na Wadowice od północy i wschodu. Otoczyli miasto łukiem, który zaczynał się gdzieś w Witanowicach, a kończył w Jaroszowicach. Skawę częściowo zamarzniętą przekroczyli w kilku miejscach. W Wadowicach wykorzystali resztki starego mostu drewnianego, który stał o jakieś pięćdziesiąt metrów w górę rzeki. Pierwszy rzut wojska tamtędy przeszedł, później bardzo szybko żołnierze z pomocą ludności cywilnej wybudowali prowizoryczny most tuż obok drogowego.

Z okresu pobytu Rosjan w Wadowicach zapamiętałem jeszcze następujące trzy epizody. Jednego wieczora, gdy siedzieliśmy w kuchni obok pieca, rozległ się daleki warkot samolotu. Musiał lecieć wysoko i daleko, bo głos motoru po krótkiej chwili umilkł. Nikt z nas nie zwrócił na ten szczegół uwagi. Nagle rozpętało się piekło. Huk i ogień! – „Na podłogę!” – krzyknęła mama. Padliśmy plackiem i przez ułamek sekundy przeszła mi przez głowę myśl, że wszyscy ginimy. Ryk maszyny złął się z serią eksplozji. Zdażyłem tylko westchnąć do Boga i miałem świadomość, że żal mi umierać. I cisza. – „Życie?” – pyta mama. – „Żyjemy” – odpowiadamy. Z dużej chmury mały deszcz. Niemiecki pilot zauważył światła, jak się okazało płonące reflektory w samochodach wojskowych zaparkowanych opodal. Wyłączył bestia motor, obniżył się maksymalnie i tuż nad dachami domów ponownie uruchomił silnik, otwierając równocześnie ogień, rzucając serie półkilowych bomb odłamkowych, które w efekcie wywołały więcej hałasu i trwogi, niż szkód. Wynikiem ataku było lekkie zranienie dwóch żołnierzy i dokładne podziurawienie dachów domostw na ul. 3 Maja od ogrodnictwa do sadyby p. Erba.

Dwa pozostałe wydarzenia wiążą się z wadowickim kinem. Już w pierwszych dniach lutego oglądaliśmy filmy. Aparaturę kinową zasiliał prąd z samochodu wojskowego, bowiem elektrownia jeszcze była nieczynna. Po „Czapajewie” pierwszym filmie, jaki w życiu widziałem, przyszła kolej na polski obraz historyczny „Kościuszko pod Racławicami”. Podczas projekcji radziecki żołnierz zawołał: „Naszych biją!”.

W sali kinowej odbywały się akademie, wiece i występy estradowe. Wczesną wiosną 1945 r. odwiedził Wadowice zespół złożony z iluzjonistów, akrobatów i piosenkarzy. Na dwa przedstawienia zaangażowano orkiestrę mojego brata Tadeusza. Wraz z muzykami Zbyszkiem

¹ 13 lutego, sześciolatekni Jurek Romańczyk i siedmioletni Romuald Gadziola idąc przez teren b. „Arbeitsdienst” to jest obozu junackiego usytuowanego od południa za wadowickim parkiem, naszli na minę zakopaną tuż obok krawężnika chodnikowego. Wybuch obciął obu chłopcom nogi do kolan – po kilku godzinach zmarli.

Putyrą i braćmi Filkami znalazłem się w miejscu dla orkiestry poniżej sceny. Nosilem nuty i pulpity. Z wielką przyjemnością oglądałem występ, zwłaszcza uroczą tancerkę. Gwoździem programu był popis samego szefa, mężczyzny o byczym karku. Poprosił on na scenę dwóch silnych mężczyzn, założył sobie na szyję pętlę – i kazał ciągnąć! Osiłki nie udusił atlety miał bowiem specjalny sposób na wiązanie rzemienia, swą tajemnicę zawodową. Jego odwagę nagradzała publiczność huraganem braw. Jednego odważny dyrektor zespołu nie przewidział: na drugim spektaklu, na scenę weszło dwóch ochotników-żołnierzy, którzy nie wysłuchali do końca jego instrukcji i zaczęli ciągnąć sznur! Atleta padł na deski wadowickiego kina. Jego koledzy zza kulis podnieśli wrzawę. Orkiestra przestała grać, mój brat też krzyczał! Krewcy byli żołnierze radzieccy, oj krewcy!

Nadal mieszkaliśmy w ciasnocie. Z jedzeniem też było krucho. Prowiant stanowiący rekompensatę za fotografie wyczerpał się i trzeba było żyć z kartkowych racji.

Z historii sporo wiemy o chłopcach z lasu, którzy walczyli z nowym porządkiem. Kilkakrotnie odwiedzał nas tajemniczy „Martin”, bardzo przystojny brunet. Śpiewał rzewne piosenki o Warszawie, a raz z kieszeni wypadł mu rewolwer... Kręcił się koło Maryli, w końcu przepadł bez wieści. Raz wieczorem podczas kolacji, ktoś zapukał w okno. Po chwili wszedł nieznajomy na lekkim rauszu pytając, czy złożyliśmy już datek na Armię... Cały czas trzymał rękę w kieszeni. Po chwili odszedł.

Jeszcze nie mieliśmy radia i nadal odbywały się wieczorne konferencje mojego taty z prof. Jachem. Słyszałem często o czym rozmawiali i kształtowałem sobie obraz rzeczywistości w oparciu o dialog starszych panów. Już doskonale wiedziałem, że ścierają się ze sobą dwa systemy i dwa światopoglądy. Co z tej próby sił wyniknie? Tata i prof. Jach zgodni w poglądach orzekli, że trzecia wojna światowa wisi na włosku.

Ten okres przetrwał w mojej pamięci jako kontynuacja czasów przedwojennych. Nie mam na myśli struktury władzy i organizacji państwa, bo te instytucje były dla nastolatka „terra incognita”, ale życie na co dzień: modę, sklepy, wystawy, szylidy... Strzępki wspomnień sprzed wojny ożywały. Moda: gabardyna, jodełka, filcowe kapelusze i kaszkiety dominowały u panów w wieku dojrzałym. Młodszy chętnie nosili buty z cholewami i krótkie kurtki. Do cywilnego stroju dokładano czapki wojskowe – i to było mile widziane. Dziewczęta też nosiły na zgrabnych nóżkach oficerki (w zimie kapce), kurteczki i twarzowe chustki. Starsze panie pozostały wierne kapelusiom. Spodnie nie zyskały jeszcze aprobaty niewiast.

Cały handel wadowicki był w rękach prywatnych, uprzejmość kupców aż przesadna, na wystawach cuda (!), a w księgarniach naprawdę ciekawe książki z przepięknymi kolorowymi okładkami. Raj! Tylko z forszą było jak zwykle krucho.

Złote czasy nastały dla ludzi przedsiębiorczych. Podam następujący przykład. Przez kilka

tygodni pewien znajomy ojca niejaki pan L., brodacz i hulaka o manierach światowca, przebywał u nas w charakterze (powiedzmy) rezydenta. Trzymał fason, nosił na co dzień muszkę i starannie ukrywał dziury w skarpetkach. Nawet z wdziękiem spożywał owsiankę na mleku, a po skromnej kolacji zapadał w stan melancholijnego skupienia. „Jadę do Warszawy” – powiedział pewnego dnia. I jął sporządzać listę upominków, każdemu według życzenia. Poprosiłem o żołnierzy. Zanotował. Wkrótce pojechał. Zachodziliśmy w głowę skąd wziął pieniądze na podróż, wszak groszem nie śmierdział. Na jakiś czas zaginął o nim słuch. Ale wrócił. Wrócił pełen glorii samochodem z drugim facetem w skórzanym kurtce. Przywiózł furę smakołyków i prezenty dla wszystkich. Dostałem kilka kartonów z żołnierzami do wycinania. Było to Polskie Wojsko!

W tym czasie wielu ludzi wyjeżdżało na zachód na „szaber”. Wadowiczanie jeździli do Świdnicy, do polskiego eldorado. O możliwościach odkucia się, krążyły legendy. Niektórzy sąsiedzi i znajomi już tam byli, inni pojechali. Wśród nich znalazł się mój brat Henryk, który wspominał z niesmakiem o swej kilkudniowej wyprawie na Ziemię Odzyskaną. Akurat wysiedlano niemieckie rodziny, a „przedsiębiorczy element” z Wadowic wodził rej w tej okolicy. Gwałt, przemoc, pijaństwo, ciemne interesy – to obraz ówczesnej Świdnicy. „Szaber” to rabunek, choć możemy spojrzeć na to zagadnienie inaczej, np. z punktu widzenia rewindykacji... A przecież specyficzny był to okres, w którym ludzkie emocje wyzwały się w rozmaity sposób. Po wkroczeniu Rosjan do Wadowic, ludzie rozbijali sklepy i porywali co się dało, niektórzy wrywali z budynków drzwi, okna razem z futrynami, wynosili meble... Ale podkreślam niektórzy,

Stałem przed domem, kiedy nadjechał duży samochód ciężarowy wypełniony rozśpiewanymi ludźmi. Powiewała białoczerwona chorągiew. Ze zdziwieniem zauważyłem, iż auto zatrzymało się, ktoś z niego zeskakuje... Brat. – „Henius!” – wołam. Wrócił z „Dzikiego Zachodu” i przywiózł radio, które nawiasem mówiąc kupił. Po powitaniu włączył aparat i rozległy się dźwięki foxtrotta. Grała orkiestra braci Łopatowskich.

Pomoc organizacji UNRRA przejawiała się w paczkach żywnościowych. Jeszcze do dziś ślinka mi cieknie, kiedy wspominam smak grubej czekolady czy konserw z sarniny, nie mówiąc już o chałwie. Dwa razy otrzymaliśmy paczki pełne różności, a wśród nich tajemnicze przedmioty z napisami w języku angielskim, wobec których formułowaliśmy pytanie: jak to się je? Zdarzały się zabawne „faux pas”, o których Henryk śpiewał akompaniując sobie na gitarze, taką to piosenkę:

Radosna nowina dziś była w urzędzie,
Że paczki unrowskie wydawać się będzie.
Więc każdy ze szczęścia po prostu się kłania,
Bo w paczkach dolary, kakao, ubrania.

[- -]

Biorę paczkę więc na plecy
I do domu szybko leczę.
W domu drzwi otwiera żona
Krzycząc: paczko wymarzona!
[- -]
W otoczeniu wszystkich córek
Rwę papiery, targam sznurek...
Wszyscy myślą, o mój Boże,
Co też w paczce tej być może?
A w paczce papiery, papiery w paczuszkach
I pełno papierów na stołach i łózkach...
[- -]
Lecz się na próżno nam zdawało,
Ze tam miało być kakao.
Każdy z przerażenia blady,
Darmo szuka czekolady.
Córki zadzierają nocy
Mówią: gdzie są papierosy?
Aby humor zły uleczyć
Wziąłem parę owych rzeczy,
Nie minęła jedna chwilka,
Zjedliśmy paczuszek kilka.
[- -]
Wieczorem przychodzi zaś do mnie do domu
Profesor języków mój dobry znajomy,
A widząc, że cała rodzina blada
Spogląda na paczkę i tak nam powiada:
To jest na komary proszek,
To na przeczyszczenie groszek,
To konserwa z starej krowy,
A to papier klozetowy!
Te serwetki są do plucia,
A to guma jest do żucia.
Tu konserwa jakaś z osła
Wszystko UNRRA nam przyniosła.

[- -]

Gdy słyszę te słowa, powiadam o Boże!
Już czuję, jak bliska jest śmierć, profesorze.
To rozpacz ogromna tak nie znać języka
I boleść ogromna wnętrzości przenika;
Proszek na komary zjadłem,
Bo napisu nie odgadłem.
Tytoń w papier zawijałem
Zupę z mydła zgotowałem,
Gąbkę usmażyłem w sosie,
Gdyż myślałem, że to prosie...
Buty kawą oczyściłem,
Sok wylałem, groch wypilem!
Czuje, że już teraz umrę
A to wszystko przez tę UNRRĘ!!!²

Rozdziału paczek unrowskich, w tym też z odzieżą, dokonywały społeczne komisje. I nam trafiła się paczka z ciuchami, ale trzeciego sortu, dwa lewe buty, podarty kapelusz i sukienki na tyczkowate dziewczęta. W torebce wyjątkowo paskudnej, znalazł się list pewnej miss z Chicago, która pragnęła nawiązać korespondencję z Polką. Moje siostry z wypiekami na twarzy słuchały wyznań ekscentrycznej Amerykanki, które dość wiernie przetłumaczył prof. Ludwik Gałuszka, przyjaciel taty z czasów toruńskich. Zapadła decyzja, aby napisać, a nuż przyśle dolary?! Amerykanka na list odpisała: mam kilka kotów i psów, dwa samochody... i przysłała... swe zdjęcia!

Przed referendum ludowym, które wyznaczono na 30 czerwca 1946 r., pod hasłem „Obywatele głosujcie 3 x tak”, wraz z Alkiem Wajdzikiem pełni przekory, wypisywaliśmy na bloczkach 3 x nie! - rozrzucając je po ulicach. Nie mieliśmy pojęcia o co chodzi i nie zdawaliśmy sobie sprawy z konsekwencji takiego postępowania. Kiedy tata złapał mnie z ową bibułą dostałem lojty. Pan Wajdzik też przyłał Alkowi. Z polityki wycofaliśmy się raz na zawsze.

Mieliśmy teraz kilku nowych sąsiadów. Do swego domu (nr 68) wprowadził się prof. Hanusiak z żoną i dwoma synami (młodszy później wyemigrował do USA), obok (nr 66) zamieszkał p. Biskup, urzędnik sądowy z synem Adasiem, moim rówieśnikiem. Niestety, Adaś już zmarł, a p. Biskup, filatelista, też od wielu lat nie żyje. Również zmarli inni sąsiedzi z tego domu: p. Nowakowski, przedwojenny sierżant, który popisał się brawurową ucieczką z posterunku policji

² Słowa do piosenki „UNRRA – UNRRA” napisał St. Lenc, muzykę skomponował J. Labega, śpiewali ją rewelersi „4 ASY”.

niemieckiej³, p. ppłk Franciszek Sękara, jego małżonka i zająca panna Rambauser, farmaceutka. Do p. Wajdzika wprowadził się p. Choma, repatriant z kresów wschodnich. Z jego synem Leszkiem kolegowałem. Na przeciwko domu p. Erba, tu gdzie mieści się wytwórnia wód gazowanych „Zdrój” p. Woźniaka (nr 60) mieszkały rodziny p. Grzesiewiczów i p. Koźbiałów. Kolegowałem z Edkiem Koźbiałem i jego młodszym bratem Nuśkiem. Do naszej paczki jeszcze należeli: Jurek Chrapek, Maniek Kwarciać, Tadeusz Majewski, Staszek Urbański, Zbyszek Sitarz, Maniek Bruzda i kilku innych. Jak chłopcy na całym świecie bawiliśmy się w wojsko, biegaliśmy po podwórkach, urządzaliśmy najrozmaitsze gry. Raz stoczyliśmy wojnę z podobną do naszej bandy grupą chłopców z Rynku. Dowodził nimi utykający na jedną nogę Jurek Banaś (ps. ULA) z ulicy Kościelnej. Bój zakończył się rozejmem i... przyjaźnią.

³ Pan Nowakowski zatrzymany przez Niemców, rozebrał piec kaflowy i przez otwór w ścianie zwiął!